

* * *

Gerhard Beiser, Katarzyna Stokłosa, *Europa dyktatur. Nowa historia XX wieku*, Warszawa 2009, PWN, s. 633

Recenzowanie książki, która ukazała się przed kilku laty, a w dodatku jest tłumaczeniem z języka niemieckiego opublikowanym po raz pierwszy w 2006 r., może się wydawać niezbyt potrzebne. Jednak, biorąc pod uwagę wagę podjętej przez autorów tematyki, a także i to, że ukazała się dzięki dofinansowaniu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, można sądzić, iż uznano ją za szczególnie wartościową i potrzebną zarówno dla studentów historii

i politologii, jak i dla czytelnika zainteresowanego dziejami XX w. Dotacja ministerialna dowodzi, że omawiana praca niejako automatycznie uzyskuje status podręcznika, czy przynajmniej wiodącej w literaturze przedmiotu monografii. Można więc mieć nadzieję, że zaprezentowanie merytorycznej oceny zawartości książki trafi w oczekiwania zarówno czytelników, jak i hojnych donatorów.

Na wstępie trzeba stwierdzić, że autorzy postawili sobie bardzo ambitne cele. Przedstawienie rozwoju sytuacji wewnętrznej w państwach europejskich od wybuchu I wojny światowej do niemal czasów współczesnych, zbadanie, czy przyczyną ewolucji ustrojowych od systemów demokratycznych do autorytaryzmu czy totalitaryzmu, były kwestie wewnętrzne, czy też wpływ miały na to czynniki zewnętrzne, przedstawienie wszystkich aspektów zmian ustrojowych, koncepcji ideowych, różnic w praktyce politycznej jest zadaniem niezwykle trudnym. Obszar zainteresowań autorów obejmuje całą Europę, co wymaga znajomości przede wszystkim bardzo obszernej literatury przedmiotu (także w językach omawianych krajów) i najważniejszych źródeł (choćby treści konstytucji i innych aktów prawnych dotyczących ustroju państwa). Autorzy nie korzystają ze źródeł, ale wykaz literatury jest imponujący i przy naturalnej przewadze publikacji w języku niemieckim literatura historyczna i politologiczna opisywanych krajów jest w miarę uwzględniona.

Konstrukcja pracy jest poprawna. Książka składa się z dwóch części. Część pierwsza obejmuje lata od 1918 do 1945. Druga zaś dotyczy okresu od zakończenia II wojny światowej do drugiej fazy procesów transformacyjnych w Europie Środkowej i Południowo-Wschodniej w połowie pierwszej dekady obecnego stulecia. W rozdziale I *Założenia i warunki* autorzy omawiają następstwa I wojny światowej i traktatu wersalskiego oraz etapy i dynamikę tworzenia dyktatur w Europie (od dyktatur konstytucyjnych do totalitarnych). Rozdział II *Autorytaryzm — komunizm — faszyzm — narodowy socjalizm* poświęcony jest przeobrażeniom ustrojowym w poszczególnych państwach w okresie międzywojennym, a także w latach II wojny światowej (np. reżim Vichy we Francji). Chronologia tego rozdziału jest złamana, ponieważ autorzy, omawiając „dalszy ciąg” dziejów reżimów dyktatorskich w Hiszpanii, Portugalii i Grecji (po 1967 r.), wykraczają poza rok 1945. Uzasadnieniem dla takiego rozwiązania jest ich przekonanie o anachroniczności tych systemów, tkwiących — jak piszą — korzeniami w okresie międzywojennym. Rozdział III (części 2) *Przymusowy eksport socjalizmu do Europy Środkowo-Wschodniej i Południowej na czołgach Armii Czerwonej oraz początek zimnej wojny* zawiera ogólne uwagi o etapach sowietyzacji i ewolucji sytuacji międzynarodowej po II wojnie światowej. W rozdziale IV *Zmiana systemu: od reżimu narodowosocjalistycznego do rządów radzieckich* przedstawiono wdrażanie systemu sowieckiego w krajach Europy Środkowej i Południowo-Wschodniej, kolejno omawiając ewolucję ustrojową i przeobrażenia wewnętrzne. Trzeba stwierdzić, że tytuł rozdziału jest błędny, sugeruje bowiem, że narzucony przez III Rzeszę system na terenach okupowanych był prawomocny i społecznie akceptowany. Autorzy nie czynią przy tym różnicy między krajami okupowanymi przez Niemcy w Europie Środkowej i Południowo-Wschodniej, a tymi, które były ich sojusznikami. Funkcjonowaniu systemu sowieckiego w Europie poświęcone są rozdziały V i VI: *„Realnie istniejący socjalizm” i zmiany społeczne. Od końca ery stalinowskiej do pierwszego dziesięciolecia XXI wieku i Europa Środkowa, Europa Środkowo-Wschodnia i Europa Południowo-Wschodnia po 1989 — transformacja ustrojowa i rozliczenie z przeszłością*. Autorzy omawiają dzieje „obozu socjalistycznego” aż do jego upadku i pierwszych lat transformacji. Rozdział VII *Religia polityczna — totalitaryzm — nowoczesna dyktatura* zawiera przegląd historiografii i publicystyki dotyczącej systemów dyktatorskich od lat trzydziestych do współczesności. Układ pracy jest poprawny, ale omawiając w kolejnych

częściach rozdziałów rozwój sytuacji w poszczególnych krajach, pominięto chronologię na rzecz chaotycznego opisu wydarzeń w dość przypadkowej kolejności.

Podejmując tak szeroki temat, autorzy musieli poszukiwać kompromisu między koniecznością szczegółowego zreferowania zagadnień polityczno–ustrojowych w państwach europejskich a prezentowaniem na tej podstawie wielu uogólnień. Niekiedy odnosi się wrażenie, że niezbyt trafnie łączą zagadnienia szczegółowe z ogólnymi wnioskami. Na przykład rozpoczynając prezentację wybranej problematyki, wychodzą od opisu sytuacji w Europie po zakończeniu działań wojennych w 1918 r. Trafną konstatacją ogólną jest stwierdzenie, iż podczas wojny wzrosła siła państwa i zakres jego kompetencji oraz nasiliły się tendencje nacjonalistyczne. Autorzy podkreślają, iż w szczególności dotyczyło to państw nowo powstałych. Wprawdzie zwycięskie mocarstwa, jak napisano, „zadbały” o przyjęcie przez nowe państwa demokratycznych systemów, z czasem okazało się jednak, że nie zostały one zaakceptowane przez społeczeństwa, które nie miały tradycji demokratycznych. W społeczeństwach tych państw „dominowała idea silnego państwa, wybujały nacjonalizm i pragnienie przywrócenia dawnej świetności swych państw. Był to materiał formujący systemy dyktatorskie”. Wypada zaznaczyć, iż idee nacjonalistyczne nie występowały jedynie w nowych państwach, ale także np. w Niemczech czy na Węgrzech. Można też zapytać, jakie to tradycje demokratyczne miały Rosja, Niemcy, czy Turcja. Mówiąc w miarę delikatnie, niezbyt znaczące. Poza tym jaką to dawną świetność chciano przywrócić w Finlandii, Estonii, Rumunii? Dość ogólne uwagi autorów są po prostu mało precyzyjne. Oczywiście trafne są stwierdzenia, iż problemy gospodarcze i społeczne, upadek tradycyjnych wartości, poważne straty demograficzne, ruina finansowa czy „bezrobocie zwycięzców” pogarszały sytuację państw europejskich. Z tych przede wszystkim powodów od początku lat dwudziestych obserwujemy odwrót od demokracji — podsumowują autorzy. Konkludują, że po przekształceniach ustrojowych w 1939 r. „cała niemal Europa była albo faszystowska, albo narodowosocjalistyczna”. To znów błędna konstatacja ogólnej natury. Dokonano w niej zrównania autorytaryzmu (będącego systemem politycznym dążącym do stabilizacji istniejących struktur społecznych i politycznych) z rewolucyjnymi systemami: faszyzmem, narodowym socjalizmem czy komunizmem, dążącymi do głębokiego „przeorania” społeczeństwa, kreowania nowych elit, stawiania daleko siężnych celów przed państwem i społeczeństwem, realizowanych z użyciem siły. Autorzy trafnie znajdują analogie między faszyzmem, narodowym socjalizmem a komunizmem (na poziomie ideologicznym, strukturalnym i praktyki politycznej — manipulowanie masami, kult jednostki, masowy terror i masowy mord), ale jednak skoro określają autorytarne systemy polityczne jako tożsame z faszyzmem czy nazizmem, to owa praktyka dalece się różni. W większości państw o systemie autorytarnym nie mamy do czynienia ani z masowym terrorem, ani z masowym mordem. Te zjawiska występują jedynie w komunistycznym Związku Sowieckim i III Rzeszy. Już system Mussoliniego we Włoszech jedynie częściowo spełnia te kryteria (jest oczywiste, że pomijamy tutaj Hiszpanię gen. Franko, jako że w innych krajach nie było wojny domowej). Nadmierne ujednoczenie tych zagadnień doprowadziło autorów do błędnych konstatacji przy omawianiu problematyki szczegółowej.

Jedną z przyczyn późniejszego kryzysu demokracji jest zdaniem autorów „traktat wersalski” (raczej wypadaloby napisać: traktaty pokojowe). On to właśnie, poprzez wyeliminowanie z rokowań Niemiec i jednostronne narzucenie im drastycznie surowych warunków, stał się przyczyną powszechnego ich odrzucenia przez społeczeństwo niemieckie i wywołania niestabilności w okresie powojennym. Podkreślono, że zwłaszcza wysokość reparacji wojennych budziła sprzeciw społeczeństwa niemieckiego. Częściowo to prawda, ale — nieco szerzej ujmując sprawę — można stwierdzić, że autorzy przyjmują tu część argumentacji

środków rewizjonistycznych w Niemczech z lat dwudziestych. Analizując bowiem treść traktatu brzeskiego z Rosją Sowiecką czy traktatu bukareszteńskiego z Rumunią, dochodzimy do wniosku, że Niemcy, jako strona zwycięska, narzucała państwom pokonanym jeszcze bardziej drastyczne warunki pokoju. Co prawda trzeba przyznać, że po negocjacjach. Także pokonanej ententy też nie zamierzano oszczędzać czy traktować „honorowo”. Warunki pokoju, które wstępnie opracowywano w niemieckim Sztabie Generalnym w 1917 r., wcale nie były łagodniejsze od tych, które obciążały Niemcy po przegranej, a raczej wręcz przeciwnie. Odszkodowania, które planowano uzyskać od Wielkiej Brytanii, Francji, USA i Włoch (ponad 290 mld marek), dwukrotnie przewyższały kwotę reparacji niemieckich (132 mld marek i procent od wpływów z eksportu). Pomijamy tu program nabytków terytorialnych zarówno w Europie — planowanych na Zachodzie i w koloniach, a zrealizowanych na Wschodzie, który uwzględniał tylko wymogi Weltpolitik. A więc w rzeczywistości surowe warunki pokojowe postawiły pokonanym przeciwnikom obie strony i klauzule traktatu wersalskiego nie są niczym nadzwyczajnym. Powody słabości powojennego ładu pokojowego, podobnie jak systemów politycznych w wielu państwach, były w istocie bardziej skomplikowane i są dość wszechstronnie omówione w literaturze przedmiotu. Ograniczanie ich jedynie do treści postanowień traktatu wersalskiego jest poważnym uproszczeniem problemu. Również pomniejszanie przez autorów roli komunizmu i Związku Sowieckiego w destabilizacji ładu wersalskiego jest poważnym błędem, a przecież stanowiło to poważne zagrożenie zwłaszcza dla państw Europy Środkowej i Południowo-Wschodniej. Odnosi się wrażenie, iż z częścią sowieckich postulatów ideologicznych autorzy nie polemizują dostatecznie wyraziście. Z tego zapewne powodu wypada odrzucić część wniosków sformułowanych przez autorów przy omawianiu rozwoju sytuacji w poszczególnych krajach europejskich do 1945 r.

Konstrukcja rozdziału II jest niewłaściwa. Autorzy prezentują najpierw powstanie i ewolucję systemu totalitarnego w Rosji, a następnie omawiają w dość przypadkowej kolejności powstawanie dyktatorskich systemów w innych krajach. Zagadnienia te można było przedstawić w kolejności chronologicznej. Wówczas dałoby się poszukać związków między poszczególnymi systemami politycznymi, wpływem wcześniejszych rozwiązań ustrojowych w systemach dyktatorskich na późniejsze odniesienia społeczne itd. Natomiast wybrana przez autorów metoda nie pozwala na uchwycenie tych zależności. Mamy omówione kolejne państwo, kolejną formę ustroju dyktatorskiego, takie czy inne sposoby ograniczenia demokracji, pętania parlamentu, przesunięcia centrum władzy w stronę rządu (władzy wykonawczej). Brak więc określenia związków, wzajemnych wpływów. Stąd liczne powtórzenia i uproszczenia. Podobne uwagi można sformułować odnośnie do rozdziału V — i tu brak pewnej ogólnej, porządkującej koncepcji.

Omawiając rozwój sytuacji wewnętrznej w poszczególnych państwach, autorzy koncentrują się nie tylko na sprawach wewnętrznych i ustrojowych, ale sporo uwagi poświęcają odniesieniom międzynarodowym. W niektórych wypadkach jest to uzasadnione, ale na ogół na ewolucję sytuacji wewnętrznej wpływały sprawy krajowe. Zagrożenie zewnętrzne było jedynie ich uzasadnieniem.

Przechodząc do referowania problematyki szczegółowej, należy stwierdzić, że o ile ogólne (syntetyzujące) uwagi autorów można w części przyjąć, to przy omawianiu problematyki ustrojowej i wewnętrznej poszczególnych państw uzasadnienia wniosków autorów są po prostu słabe. Przyczyn tego stanu rzeczy należy szukać zarówno w nie dość głębokiej analizie problemów, jak i w całym szeregu kompromitujących wręcz błędów faktograficznych i interpretacyjnych, na podstawie których owe „syntetyzujące wnioski” zostały wyciągane. Zwrócić trzeba też uwagę na formę narracji, którą można nazwać „zaangażowaną”, jeśli uży-

libyśmy pojęć z okresu minionego, tj. pewnej manieri pisarskiej dominującej przed rokiem 1989 w krajach tzw. realnego socjalizmu.

Już w pierwszej części rozdziału II poświęconego ewolucji ustrojowej Rosji od 1917 r., a także sytuacji wewnętrznej i polityce zagranicznej, możemy wskazać na wiele drastycznych błędów czy uproszczeń. Przede wszystkim autorzy usiłują tłumaczyć narastanie represji w polityce bolszewików w Rosji zagrożeniem zewnętrznym i potężnymi antybolszewickimi siłami wewnętrznymi. Piszą oni, iż „w pewnym sensie to właśnie wojna domowa w Rosji zadała śmiertelny cios wzniosłym ideałom i nadziejom na stworzenie wolnego socjalistycznego społeczeństwa”. „Wszystkie podstawowe załączki demokracji zostały zniszczone, zaprowadzono porządek, dyscyplinę i kontrolę”. Autorzy uważają widać, że bolszewicy mieli początkowo na celu właśnie wprowadzenie systemu demokratycznego. Jest to stwierdzenie absurdalne. Sądzą, że leninowskie koncepcje budowy „państwa robotników i chłopów” zakładały właśnie zniszczenie systemu przedstawicielskiego powstałego w Rosji po 1905 r., a także likwidację gospodarki rynkowej, pieniądza, własności prywatnej, lokalnych struktur społecznych (poza obszarem kontrolowanym przez system Rad), klas posiadających, istniejącego aparatu państwowego. Nic dziwnego, że próby wcielania w życie tych „wzniosłych idei” wywołały szeroki sprzeciw społeczny. Dylemat: czy to działalność bolszewików bezpośrednio po listopadzie 1917 r. wywołała wojnę domową, czy też wczesny system bolszewicki oparty na terrorze został „stworzony” przez wojnę domową, moim zdaniem nie istnieje. Przy okazji czytelnik spotyka się z wieloma dziwnymi czy nieprawdziwymi sformułowaniami i licznymi błędami merytorycznymi.

Analizując politykę zagraniczną Związku Sowieckiego w okresie międzywojennym, autorzy stwierdzają, że układ z III Rzeszą z 23 VIII 1939 r. był kontynuacją (przez ZSRR) polityki „kolektywnego bezpieczeństwa”, gdyż Stalin, otoczony „kapitalistycznymi przeciwnikami”, dążył poprzez rozbudowę zasobów wojskowych do umocnienia pozycji ZSRR (s. 54). Określenie zawarcia paktu Ribbentrop–Mołotow terminem „polityki kolektywnego bezpieczeństwa” jest po prostu humorystyczne. Przyrównano przy okazji treść układu Ribbentrop–Mołotow do zawieranych wcześniej układów o nieagresji między Związkiem Sowieckim a jego zachodnimi sąsiadami. Jest to grube nadużycie, gdyż układy o nieagresji podpisane z państwami bałtyckimi i Polską były typowymi porozumieniami tego rodzaju, no i, o czym autorzy zdają się nie pamiętać, nie miały protokołów dodatkowych o wyraźnie agresywnym charakterze dotyczących państw trzecich (s. 54, 55). Przy okazji błędnie omówiono treść układu Ribbentrop–Mołotow. Napisano, iż zgodnie z tym układem „wschodnia Polska miała przysiąc ZSRR”. W istocie granicę stref ustalono na środkowej Wiśle, a więc strefa sowiecka obejmowała zdecydowaną większość terytorium RP. Jeszcze ciekawsze są dalsze konstatacje autorów. „Po zwycięstwie Niemiec nad Polską — kontynuują — ZSRR zwlekał z zajęciem «wschodniej Polski» i dopiero Niemcy musieli ponaglać Stalina do zajęcia terytorium, które przypadło im w udziale bez żadnych działań z jego strony”. Oprócz ewidentnych błędów merytorycznych mamy ciekawą interpretację wydarzeń po 17 IX 1939 r. Wynika z niej, że ZSRR zajął „wschodnią Polskę” jako terytorium puste, bezpieczne, bez walki, no i nie wiadomo, kiedy. Autorzy idą tutaj za ówczesną interpretacją sowiecką. Dalej napisano też, że w drugim „protokole dodatkowym”, z 28 września 1939 r., ZSRR jako łup wojenny otrzymał Litwę, a w zamian Niemcom dostały się obszary „wschodniej Polski” (s. 56). Operowanie całkowicie sztucznym i pojemnym terminem „wschodnia Polska”, sugeruje, że ZSRR po upadku Polski nie okupował żadnej części terytorium RP, co jest oczywistym nonsensem.

Autorzy wybielają politykę sowiecką nie tylko w kwestiach dotyczących Polski. Omalizując antecedenecje i przebieg wojny zimowej, piszą najpierw, iż „Finlandia wzbraniała się

podpisać w październiku 1939 r. układ sojuszniczy z ZSRR i w wybuchłej w następstwie tego wojnie zimowej stawiała Armii Czerwonej tak zaciekły opór, iż ZSRR musiał zgodzić się 12 marca 1940 r. na zawarcie kompromisowego pokoju, w wyniku którego Moskwie dostała się Karelia” (s. 56). To dobra próbka nieprecyzyjnego języka używanego przez autorów i bezceremonialnego traktowania znanych przecież powszechnie faktów. Osoba nieznająca tej problematyki zrozumie, że Finowie nie chcieli sojuszu z Moskwą, dlatego, nie wiadomo, czym sprowokowali wojnę, w wyniku której ponieśli straty terytorialne. O terytorialnych i politycznych żądaniach sowieckich z października i listopada nie wspomniano, jak również o przygotowywanym „przewrocie rewolucyjnym” w Finlandii, co uosabiał „rząd” Kuusinen, który Moskwa uznała i podpisywała z nim układy.

W części rozdziału poświęconego Związkowi Sowieckiemu spotkać można też wiele drobniejszych błędów. Autorzy twierdzą na przykład, że do rozwiązania IV Dumy doszło w 1915 r. (w rzeczywistości w 1917), używają skrótu KPZR(b) („b” oczywiście jest zbędne) i stosują go zamiennie ze skrótem WKP(b), także wtedy, gdy nie był już stosowany, przekonują też, że podczas kolektywizacji kułaków zmuszano „także” do emigracji. Przyjęcie Związku Sowieckiego do Ligi Narodów miał pilotować francuski rząd „frontu ludowego”, co jest kolejnym błędem, gdyż dokonał tego rząd Doumerque’a, a nie Bluma. Przeceniono także międzynarodowe znaczenie polsko–niemieckiej deklaracji o niestosowaniu przemocy. Miała ona spowodować „przyjęcie ZSRR do Ligi Narodów w 1934 roku”. Fakt ten okraszono uwagą, iż zaledwie rok wcześniej wykluczono z tego gremium Niemcy i Japonię (sic!), a przecież oba te państwa wystąpiły z Ligi z własnej woli, nadając temu aktowi charakter demonstracji politycznej. Jedynym krajem wykluczonym z Ligi był Związek Sowiecki w 1939 r., co przecież powszechnie wiadomo. Błędy i pomyłki można dalej mnożyć.

Szukające są również inne, bardziej ogólne interpretacje i wnioski zawarte w części pracy poświęconej ZSRR. Analizując przyczyny zwycięstwa ZSRR nad Niemcami w II wojnie światowej, autorzy konkludują: „Krajowi wyszło także bez wątpienia na dobre to, że od początku lat 30–tych znajdował się nieprzerwanie w stanie wyjątkowym. Wojna była wprawdzie cezurą, ale nie doprowadziła jednak do przerwania procesu przemian społeczeństwa radzieckiego w nowoczesne społeczeństwo przemysłowe, a nawet ten proces przyspieszyła. Mobilizacja zmieniła strukturę wieku wśród robotników. W 1940 roku robotnicy poniżej 18 roku życia stanowili 65%, w 1942 15%, podczas gdy odsetek robotników między 18 a 49 rokiem życia spadł tylko z 85 do 73%”. Z tego powodu zmieniła się także struktura płci: „w budownictwie maszynowym kobiety zaczęły wkrótce stanowić 40% zatrudnionych, w rolnictwie zaś 60%”. Pomijając już rzetelność przytoczonych danych, wypada zapytać, jaki wpływ na tworzenie nowoczesnego społeczeństwa przemysłowego ma procent kobiet zatrudnionych w rolnictwie, czy siedemnastolatków w przemyśle. Poza tym dlaczego krytycznie oceniono dyktaturę w Europie, a pochwalono „stan wyjątkowy” w ZSRR przed rokiem 1939. Stan wyjątkowy to przecież także dyktatura.

Sprawy polskie zostały przez autorów potraktowane dość bezceremonialnie. Proces odzyskiwania przez Polskę niepodległości przedstawiono jako ciąg trudnych do przewidzenia, przypadkowych faktów. Mocno podkreślono przewagę konserwatywnych przekonań w społeczeństwie polskim oraz dominację poglądów nacjonalistycznych i klerykalnych, czego wyrazem było określenie „Polak–katolik”. Zdaniem autorów lata budowy państwa wpłynęły na umocnienie tych postaw, dlatego używają określenia „narodowo–katolicki” dla przyjmowanych rozwiązań politycznych, prawnych (konstytucyjnych) czy dominującej praktyki politycznej. I tu spotykamy wiele błędnych interpretacji, bezceremonialne podejście do powszechnie znanych faktów czy drastyczne pomyłki, choć ich liczba jest nieco mniejsza niż

w części poświęconej Rosji. Autorzy są przekonani, że między rządem ludowym I. Daszyńskiego a narodową demokracją w listopadzie 1918 r. niewiele brakowało do wybuchu wojny domowej, wskazują również, że wybujały nacjonalizm Polaków skłaniał ich do wysuwania nadmiernych żądań terytorialnych przy wytyczaniu granic odrodzonego państwa. Jako przykład podano rozstrzygnięcie problemu Górnego Śląska, gdzie „doszło do naruszenia zasady samostanowienia narodów”, gdyż mimo zwycięstwa w plebiscycie zwolenników pozostawienia Górnego Śląska w granicach Niemiec sporny obszar podzielono. Autorzy po prostu pomijają fakt, iż tereny plebiscytowe po I wojnie światowej na ogół dzielono, głosowano bowiem gminami, a więc podział obszaru głosowania był oczywistością. Dalej autorzy przekonują czytelnika, iż „również przy regulowaniu granicy polsko-litewskiej dominowały nastroje nacjonalistyczne” (po stronie polskiej). „Mimo że Wilno i okręg wileński były zamieszkałe przez litewskich katolików”, Polska wymusiła zwrot tych terenów siłą, stosując fakty dokonane (s. 122). W innym miejscu napisano, iż Wilno i Wileńszczyznę zamieszkiwała większość białoruska (s. 68), Autorzy są, jak widać, niezdecydowani w tej kwestii, a poza tym prawdopodobnie nie znają żadnych statystyk przedstawiających strukturę narodowościową Wilna i tzw. Litwy Środkowej. Odrodzone państwo polskie nazywają państwem wielonarodowym z racji licznych mniejszości liczących 1/3 ludności (ciekawe, jak nazwaliby np. Czechosłowację, gdzie naród panujący, Czesi, stanowił ledwie jej połowę). Piszą dalej, że fakt ten wpłynął bardzo poważnie na politykę wewnętrzną państwa. Władze państwa polskiego prowadziły politykę bezwzględnej polonizacji i katolicyzacji. Jako przykład podają fakt, że „do 1929 roku z Poznania wyjechało 700 tys. Niemców” zagrożonych „szybką, przymusową asymilacją”. W rzeczywistości w 1918 r. Poznań liczył 150 tys. mieszkańców, więc zapewne autorom chodziło o Wielkopolskę, Pomorze i polską część Górnego Śląska. Trzeba przyznać, że spora liczba Niemców opuściła tereny przyznane Polsce w traktacie wersalskim (mieli prawo opcji), ale w większości były to osoby związane ze strukturami państwa niemieckiego (nauczyciele, oficerowie, policjanci, urzędnicy, aktywiści Hakaty), dla których po prostu zabrakło zajęcia w państwie polskim. Błędne jest poza tym twierdzenie, iż były to osoby „zagrożone przymusową polonizacją”. Bardzo częste wypadki polonizacji rodzin niemieckich miały miejsce w drugiej połowie XIX w. w zaborze austriackim, czyli w Galicji. Polonizacja ludności niemieckiej w zaborze pruskim po 1918 r. była zjawiskiem znacznie rzadszym, co dałoby się zresztą ciekawie (dla czytelnika) przedstawić, a nie pisać o „przymusowej polonizacji”, której szanse w tym zaborze były po prostu małe.

Zdaniem autorów Polskę wprawdzie skłoniono do podpisania traktatu o ochronie mniejszości, ale tworzenie nowych reguł szło powoli. Podobnie oceniono politykę Polski na wschodzie. Autorzy piszą, iż „zachodnia część Białorusi została poddana konsekwentnej polonizacji według wytycznych polskiego nacjonalizmu. Zamykano szkoły białoruskie, nakłaniano ludność do przyjęcia katolicyzmu, w obozie dla więźniów politycznych w Berezie Kartuskiej internowano białoruskich intelektualistów i przywódców politycznych. Za udział w ruchu komunistycznym aresztowano 10–11 tys. osób. Także Białoruś Wschodnia, jak piszą autorzy, straciła większość elit. W latach trzydziestych przeprowadzono tam czystki stalinowskie wymierzone przeciw „narodowemu odchyleniu”. Rozstrzelano większość członków Białoruskiej Akademii Nauk, Związku Wyzwolenia Białorusi, kadry uniwersytetu w Mińsku, ludzi kultury”. Można mieć uzasadnione i poważne zastrzeżenia do polityki RP na Kresach, ale porównywanie polityki sowieckiej i polskiej wobec Białorusinów, a zwłaszcza twierdzenie, że naród białoruski stracił swe elity w ZSRR i „także” w Polsce, jest po prostu nieprawdą.

Autorzy dość trafnie przedstawiają przyczyny i konsekwencje zamachu majowego. Twierdzą, że wczesny reżim pomajowy był formą autorytaryzmu konstytucyjnego, zachowu-

jącego pewne formy parlamentaryzmu. Zamach oraz sama osoba Piłsudskiego okraszone są wprawdzie złośliwymi uwagami: np. napisano, że „do zalecanych przez Piłsudskiego środków (rządzenia) należało także zamordowanie generałów i kontrola wyznaczonego rządu”, ale stwierdzono jednak wyraźnie, że Marszałek zrezygnował z wprowadzenia dyktatury totalitarnej (inna sprawa, czy w ogóle miał taki zamiar). Po wybuchu kryzysu gospodarczego zdecydował się jednak przyjąć kurs jawnie autorytarny. Jako dowód przytoczono rozprawę z opozycją w 1930 r. i proces brzeski. Autorzy nie wspominają jednak o powodach tak drastycznych działań i milczą o politycznych zamierzeniach Centrolewu obliczonych na konfrontację. Smakowite jest porównanie Piłsudskiego ze Stalinem i Mussolinim oraz konstatacja, że jednak łagodniej niż oni obchodził się z opozycją. Zaprezentowano też negatywną ocenę konstytucyjną kwietniowej, trafnie stwierdzając, że wprowadzała system autorytarny.

Surowo oceniono polską politykę zagraniczną, a zwłaszcza pakt z Hitlerem z 24 czy z 26 I 1934 r. (tu autorzy również nie mają pewności, umieszczając te dwie daty na jednej stronie). Wskazują dalej na presję, jaką Piłsudski wywierał na Niemcy w 1933 r., „nosząc się z myślą wojny prewencyjnej [...], planowano zajęcie Gdańska, Prus Wschodnich i reszty Górnego Śląska [...] Kiedy do tych planów przyłączyła się Francja, Piłsudski przekazał III Rzeszy ультymatywne zapytanie o niemieckie roszczenia terytorialne”. I znów mamy tu wiele błędów, niejasności i konfabulacji, niczym nieopartych stanowczych twierdzeń. Autorzy krytycznie oceniają politykę nacisków na Niemcy przez Piłsudskiego, zapominając, że także druga strona, tj. Niemcy, w latach dwudziestych wywierała presję polityczną i gospodarczą na Polskę. Nie ma w tym zresztą nic dziwnego. Polityka międzynarodowa polega na stosowaniu nacisków na płaszczyźnie politycznej, gospodarczej, militarnej, ideologicznej, czy finansowej — to ostatnie obecnie bardzo „modne”. Podkreślanie jakoby wyjątkowej niestosowności wywierania nacisków na Berlin brzmi po prostu humorystycznie. Wyliczając dalej, błędna jest konstatacja autorów, że układy w Locarno „potwierdzały prawnomiędzynarodowy charakter jedynie granic zachodnich Niemiec. Otwierało to możliwość pokojowych rewizji granic na wschodzie”, gdyż Niemcy nigdy nie uznały swych wschodnich granic ustanowionych przez traktat wersalski, co — między innymi — było przyczyną wojny w 1939 r. Trzeba autorom wyjaśnić, że prawnomiędzynarodowy status granicy polsko-niemieckiej ustanowił właśnie traktat wersalski (podobnie jak polskiej granicy ze Związkiem Sowieckim traktat ryski) i Niemcy uznały tę granicę, podpisując traktat pokojowy, a że dążyły do jego rewizji, to zupełnie inna sprawa. Natomiast układy z Locarno stworzyły system silnej gwarancji mocarstw dla granicy francusko- i belgijsko-niemieckiej na zachodzie i słabszej gwarancji francuskiej dla granicy polsko-niemieckiej i czechosłowacko-niemieckiej. Doszło więc do zróżnicowania gwarancji granic ze wschodnimi i zachodnimi sąsiadami Niemiec, ale zróżnicowanie to miało charakter polityczny, a nie formalnoprawny. Autorzy mylą tu podstawowe zagadnienia i wydaje się, że nie znają ustaleń obecnych w literaturze przedmiotu. Uwaga o nieuznaniu przez Niemcy swej wschodniej granicy pojawia się ponownie w akapicie poświęconym atakowi III Rzeszy na Polskę we wrześniu 1939 r., jak gdyby wyjaśniając powody agresji (s. 127).

Zwraca uwagę pominięcie przez autorów opisu sytuacji na okupowanym przez Niemcy terytorium Rzeczypospolitej. Przedstawiono politykę III Rzeszy w okupowanej Norwegii, Francji, we Włoszech od 1943 r., ale o sytuacji w Generalnym Gubernatorstwie czy o terenach polskich włączonych do Rzeszy powiedziano niewiele. Skoncentrowano się na wydarzeniach w latach 1943–1945, zwłaszcza na polityce sowieckiej wobec konspiracyjnych struktur władzy podległej rządowi londyńskiemu i żołnierzy Armii Krajowej. Pominięto natomiast niemal zupełnie sprawy związane z polityką okupanta niemieckiego na ziemiach pol-

szych. Wspomniano wprawdzie o wysiedleniach ludności polskiej z Pomorza i Wielkopolski, ale zanizono liczbę wysiedlonych do 80 tys., gdy w rzeczywistości oblicza się ją co najmniej na 800 tys. do 1944 r. Sprawy związane z rozmiarami konspiracji, Państwem Podziemnym czy represjami niemieckich władz okupacyjnych pominięto zupełnie. Zbyt skrótowo potraktowano także represje antyżydowskie w okupowanej Europie i Holocaust. Wydarzenia te skomentowano konstatacją, iż wprawdzie „likwidacja (Żydów) była zgodna z intencjami kierownictwa nazistowskiego, miała jednak również w krytycznej sytuacji zaopatrzeniowej aspekt f u n k c j o n a l n y” (s. 159, podkr. A E). Cóż, komentując powyższe, można tylko zapytać, co sprawiło, iż polski czytelnik otrzymał, dzięki dotacji MNiSW, możliwość przeczytania tego typu absurdalnych i bezczelnych twierdzeń. Nie znajduję odpowiedzi.

Omawiając inne systemy dyktatorskie, autorzy odrzucają tezę o tzw. dyktaturach defensywnych. Tym terminem określa się np. zmiany ustrojowe w Austrii w latach 1933–1934, których represywne ostrze było wymierzone w antypaństwowe działania narodowych socjalistów. W tym nurcie historiografii usiłuje się niejako tłumaczyć zmiany ustrojowe w kraju, podjęte w celu powstrzymania postępów nazizmu. Oczywiście taka interpretacja wydarzeń jest uprawniona, choć pamiętać należy, że „przy okazji” reżim Dollfussa nieco wcześniej zniszczył austriacką lewicę. Przechodzimy tutaj do wielu problemów w mniejszych państwach Europy Środkowej i Południowo-Wschodniej. Dotyczyły one państw bałtyckich i bałkańskich do 1939 r., gdzie dyktatury ustanawiano z powodów wewnętrznych. Po 1939 r. systemy dyktatorskie zainstalowano w krajach satelickich III Rzeszy według wzorów niemieckich czy włoskich.

Omawiając szczegóły ewolucji ustrojowej we wspomnianych krajach, autorzy sumiennie przedstawiają treści lewicowych ideologii i programów. Referując zasady programu socjalistów austriackich, zaakcentowano dążenia partii do implementacji zasad „nowej kultury” w życiu społecznym, której program miał dokonać głębokich zmian w mentalności społeczeństwa. Należało do nich: zakładanie szkół ludowych i bibliotek w celu zapoznania „szerokich rzesz” z marksizmem i postępowymi ideami społecznymi, lansowanie alternatywnych świąt: dnia urodzin Marksa czy Lassala (5 maja czy 11 kwietnia), lewicowego skautingu „Rote Falken”, nowego stylu bycia (moda na chłopczycę), odrzucenie powszechnie aprobowanych zwyczajów (np. porzucenie tradycyjnej obrzędowości pogrzebowej na rzecz popierania kremacji zwłok). Wspomniano także o odrzuceniu przez robotników radykalnego szerzenia kolektywizmu społecznego (wyrazem tego miały być wspólne kuchnie w blokach osiedli robotniczych w Wiedniu) oraz nierealnych wówczas postulatów dozwoleń aborcji i rozwodów w systemie prawnym. Uwagi te mają w jakimś sensie wyjaśnić opór tradycjonalistów, sięgających do użycia siły w przeciwdziałaniu nowościom.

Znajdujemy w tej części pracy też spor błędów faktograficznych, których można by uniknąć przy staranniejszej korekcie. I tak: traktat w Trianon podpisano 4 VI 1920, a nie 4 VII, Polska nie zawarła rozejmu z Rosją Sowiecką 11 VII 1920 roku, układ sowiecko-niemiecki w 1926 r. podpisano 10 kwietnia a nie 10 czerwca, III Rzesza wypowiedziała wojnę USA 11, a nie 7 grudnia 1941 r., reparacje niemieckie wynosiły 132 mld marek, a nie 150, Stany Zjednoczone nie podpisały układu sojuszniczego z Związkiem Sowieckim „7 grudnia 1941 roku” (s. 265), jak chcą autorzy, a linia demarkacyjna między Węgrami a Rumunią w 1919 r. nie została wytyczona zgodnie z kryterium etnicznym, lecz biegła przez niemal czysto węgierskie terytorium.

Przechodząc do drugiej części omawianej pracy, należy wspomnieć o poprawnym przedstawieniu kolejnych działań sowieckich, których celem było zdobycie dominującej pozycji w Europie Środkowej. Trafnie stwierdzono, że zniszczenie panowania politycznego III Rze-

szy stworzyło pustkę, jaką politycznie wypełnili komuniści, zdobywając z pomocą Związku Sowieckiego władzę, którą zdołali utrzymać przez niemal pół wieku. Mechanizm sowietywizacji krajów Europy Środkowej przedstawiono poprawnie. Ale i tu mamy wiele błędów. Na przykład autorzy twierdzą, że w październiku 1956 r. Chruszczow przyjechał do Warszawy, aby wesprzeć Gomułkę w jego walce ze stalinowskimi przeciwnikami. W rzeczywistości Chruszczow i całe kierownictwo sowieckie byli zaniepokojeni rozwojem sytuacji w Polsce, a zwłaszcza w kierownictwie PZPR, i jego przyjazd do Warszawy 19 X 1956 r. miał zahamować rozwój sytuacji oceniany w Moskwie jako niekorzystny. Podobnie nonsensowne jest stwierdzenie, że Rákosi w 1956 r. był rozjemcą między reformatorami w partii komunistycznej a stalinowcami na Węgrzech. W istocie system dyktatury komunistycznej w tym kraju uosabiał właśnie Rákosi i jego współpracownicy: Gerö, Hegedüs, Farkas, Révai i inni. Pominęto wyjątkową skalę represyjności systemu komunistycznego na Węgrzech przed rokiem 1956, kontynuowany w latach następnych przez reżim Kádara do początku lat sześćdziesiątych. I znów sporo pomyłek i błędów. Malenkowa odwołano z funkcji premiera ZSRR 8 II 1955 r., a nie „w 1954 roku”, autorzy nie wspominają, iż kryzys kubański poprzedziła instalacja sowieckiej broni raketowej na Kubie. Próby reform w CSR w 1968 r. nie miały „podłoża eurokomunistycznego”, gdyż manifest eurokomunizmu został ogłoszony dopiero w 1975 r. (Barbieri). I tak dalej można wyliczać kolejne usterki i błędy.

Omawiając lata trzydzieste w ZSRR, jak i okres powojenny do 1953 r., autorzy eksponują negatywne cechy tzw. stalinizmu: skalę represji, skostnienie ideowe, imperialną politykę, zapaść gospodarczą, kulturalną urawniłowkę. Rozróżnienie stalinizm–leninizm w istocie utrudnia ocenę istoty systemu komunistycznego, sugerując, iż sytuacja w ZSRR za życia Stalina była wypaczeniem w gruncie rzeczy słusznych idei leninowskich. Ten tok rozumowania poddał gruntownej krytyce Leszek Kołakowski w fundamentalnych *Głównych nurtach marksizmu*, twierdząc trafnie, iż uprawnia on „okres leninowski” na początku lat dwudziestych i system komunistyczny po 1953 r.

Kończąc ten rejestr absurdalnych twierdzeń, błędów, uproszczeń i dziwacznych interpretacji (mimo ich „funkcjonalności”), wypada stwierdzić, że oceniana praca niestety nie spełnia kryteriów podręcznika akademickiego — co sugeruje dotacja MNiSW — ani wiodącej i ważnej dla podjętego tematu monografii. Wspieranie środkami publicznymi pracy tak słabej, zawierającej tak wielką liczbę ewidentnych błędów, niedopuszczalnych uproszczeń i błędnych interpretacji jest faktem zaskakującym i niezrozumiałym. W MNiSW istnieją chyba procedury recenzyjne, pozwalające ocenić wartość publikacji i jej przydatność na rynku czytelniczym w Polsce. Należy stanowczo podkreślić, że praca G. Beisera i K. Stokłosa nie spełnia warunków stawianych publikacjom naukowym, zarówno z powodów merytorycznych, jak i wyjątkowo kiepskiego tłumaczenia. Można również wyrazić zdziwienie, że książkę opublikowano w zasłużonym Państwowym Wydawnictwie Naukowym, znanym z dbałości o poziom swych publikacji. W wypadku omawianej książki nie dopełniono elementarnych warunków dla zachowania wysokich standardów, do których PWN przyzwyczało przez lata czytelników swoich publikacji.

Andrzej Essen
Kraków

François–Emmanuel Brezet, *Karl Dönitz. Ostatni Führer*, Warszawa 2012, Wydawnictwo Muza SA, ss. 319

Postać wielkiego admirała Karla Dönitza, następcy Ericha Raedera na stanowisku szefa niemieckiej *Kriegsmarine*, wreszcie ostatniego prezydenta III Rzeszy, budzi zrozumiałe zainteresowanie historyków oraz politologów. Zainteresowanie jest tym bardziej zrozumiałe, że Dönitz dożył sędziwego wieku (zmarł w wigilijny wieczór 1980 r., mając osiemdziesiąt dziewięć lat) i chętnie dzielił się wspomnieniami z czasów służby zarówno w marynarce cesarskiej (*Kaiserliche Marine*), flocie republikańskiej Rzeszy (*Reichsmarine*) i jej hitlerowskiej sukcesorce (*Kriegsmarine*). Do końca życia budził kontrowersje nie tylko u przeciwników, ale także wśród podległych mu w latach wojny kombatantów¹. Jednocześnie budził on respekt wśród dawnych wrogów do tego stopnia, że niektórzy dowódcy alianccy — np. dowódca Floty Pacyfiku US Navy admirał Chester Nimitz — stali się rzecznikami jego obrony na procesie norymberskim. Z zadowoleniem należy więc powitać inicjatywę wydawniczą Muzy SA, która zdecydowała się na tłumaczenie i udostępnienie polskiemu czytelnikowi biografii wielkiego admirała pióra francuskiego autora François–Emmanuela Brezeta. Biograf Dönitza to emerytowany komandor francuskiej *Marine Nationale*, profesor historii paryskiej Sorbony, autor wielu cenionych opracowań dotyczących działań na morzu w czasie II wojny światowej. Zdziwienie budzi więc fakt, że pisarz o uznanym dorobku naukowym używa w tytule żurnalistycznego wtrętu „ostatni Führer”. Poza mocnym propagandowo podtytułem biografii zamierzona lub niezamierzona ironia jest raczej chybiona. Hitler był bowiem tak tytułowany ze względu na unię personalną urzędu prezydenta i kanclerza III Rzeszy. Dönitz odziedziczył po nim tylko stanowisko prezydenta. Kanclerzem został –przypomnijmy — szef propagandy dr Joseph Goebbels, a po jego samobójczej śmierci stanowisko to przejął jako p.o. szefa rządu Rzeszy Johann Ludwig hrabia Schwerin von Krosig.

Najbardziej wartościowymi rozdziałami recenzowanej pracy są rozdział 1 i 2 omawiający młodość admirała oraz pierwsze lata służby w cesarskiej marynarce wilhelmińskiej Rzeszy, jak również rozdział 20 ukazujący wzajemne relacje między Hitlerem a Dönitzem. Autor słusznie zauważa, że dowódca *Kriegsmarine* (podobnie jak wielu admirałów i generałów) pozostawał pod urokiem Führera. Podkreśla zarazem, że bohater jego monografii był jednym z nielicznych wyższych dowódców niemieckich sił zbrojnych, którzy nie tylko potrafili polemizować z Hitlerem, ale nawet wymóc zmianę jego decyzji (jak np. w przypadku cofnięcia rozkazu o wyłączeniu z czynnej służby dużych jednostek *Kriegsmarine* — s. 177, 252). F.–E. Brezet ma rację pisząc, że Dönitz ogłędnie mówiąc — mija się z prawdą, twierdząc, że o zbrodniach mających miejsce w niemieckich obozach koncentracyjnych nic nie wiedział. Na dowód przytacza informację o uczestnictwie wielkiego admirała w poznańskiej konferencji Heinricha Himmlera (25 I 1944 r.), na którym Reichsführer SS bez ogródek wypowiedział się o celach przyświecających „ostatecznemu rozwiązaniu kwestii żydowskiej” (s. 257, 258). Można zgodzić się z autorem, który na s. 265 zauważa: „Wielki admirał był w jego (Hitlera — R. K.) oczach uosobieniem ducha walki do ostatniej kropli krwi w prowadzonych niemal bez wytchnienia bojach [...] Hitler nie mógł też pozostać obojętny na fanatyczne oddanie, z jakim służył mu Dönitz, i niezachwianą wiarę w ostateczne zwycięstwo, jaką

¹ Jeden z jego podkomendnych, w czasie wojny komandor podporucznik i dowódca U–boota Erich Topp, który po wojnie dosłużył się stopnia admirałskiego w Bundesmarinie, zdystansował się od swego dowódcy, gdy się upewnił, że musiał on znać prawdę o obozach koncentracyjnych III Rzeszy na długo przed 8 V 1945 r. E. Topp, *Pochodnie nad Atlantykem*, Gdańsk 2012, s. 5, 6.

okazywał. To właśnie wyjaśnia w dużej mierze decyzję o wybraniu wielkiego admirała na następcę”. F.–B. Brezent mógł ten słuszny wniosek poprzeć jeszcze jedną istotną informacją. Tylko niewielu (najwyżej trzech) oficerów *Kriegsmarine* zaangażowanych było w spisek płk. Clausa von Stauffenberga. To mogło upewnić *Führera* w przekonaniu, że marynarka jest mu równie wierna jak SS. I w zasadzie w tym miejscu kończą się zalety książki, a lista zarzutów jest dość długa. Autor pominął kilka istotnych dla podjętego tematu monografii. O ile zrozumieć można (co zresztą sam Brezent wyjaśnia) brak fundamentalnej pracy Dietera Hartwiga², gdyż ukazała się ona po złożeniu niniejszej biografii do druku, o tyle dziwi brak dzieła Karla Almana w bibliografii³. Nawet jeśli ma ono miejscami hagiograficzny charakter, to zapoznanie się z argumentacją jednego z adherentów wielkiego admirała byłoby dla francuskiego autora cenne i poznawcze. Kolejnym błędem jest pominięcie znanej książki autorstwa Cajusa Bekkera⁴ czy wspomnień takich dowódców U–bootów jak np. Günther Prien⁵ jak również spojrzenia na wojnę morską lat 1939–1945 jednego z podkomendnych Dönitza, admirała Friedricha Ruge⁶. Autor nie uniknął wielu błędów rzeczowych i uproszczeń. Wspominając na s. 77 o lekkich krążownikach typu *M* określa ich wyporność na 700–800 ton. Taką wielkość miały budowane w tym czasie torpedowce. W rzeczywistości planowane przez *Kriegsmarine* krążowniki tego typu miały mieć wyporność w granicach 8500 t.⁷ Opisując inwazję III Rzeszy na Norwegię (s. 100–103), autor w ogóle nie wspomina o tzw. incydencie z *Altmarkiem*, zaopatrzeniowcem pancernika kieszonkowego *Admiral Graf Spee*, który przewoził na pokładzie 299 jeńców z zatopionych przez korsarza brytyjskich statków. Jego zatrzymanie na wodach norweskich przez brytyjskie niszczyciele w lutym 1940 r. przyspieszyło decyzję Hitlera w tej sprawie. Na s. 133 przed nazwami amerykańskich okrętów w wypadku *Green* i *Karny* autor podaje prefiks US, choć okręty amerykańskie używały prefiksu USS (*United States Ship*), co dla historyka wojen morskich powinno być przecież oczywiste.

Wspominając o konsekwencjach słynnego *Laconia Befehl* (s. 158), autor pomija milczeniem wymordowanie przez załogę U–852 marynarzy z zatopionego przez niego greckiego statku *Peleus* 13 III 1944 r. Przecież właśnie to wydarzenie było jedną z podstaw oskarżenia Dönitza o zbrodnie wojenne w czasie procesu norymberskiego! Podczas opisu ostatniego rejsu bojowego krążownika liniowego *Scharnhorst* (s. 212) 25–26 grudnia 1943 r., autor określa brytyjskie krążowniki zespołu wiceadmirała Roberta Burnetta — *Belfast*, *Sheffield* i *Norfolk* mianem ciężkich, choć w działa kalibru 203 mm uzbrojony był tylko ten ostatni i tylko on był w istocie ciężkim krążownikiem w rozumieniu definicji tej klasy okrętu. Autor pomija milczeniem fakt, że o fiasku tej operacji przesądzały błędne meldunki rozpoznania prowadzonego przez *Luftwaffe*.

O ile wymienione wyżej błędy są winą autora, o tyle pomyłki lub fatalny styl tłumaczenia obciążają polskiego wydawcę. I tak np. na s. 26 czytamy o „wieżyczkach z działa-

² D. Hartwig, *Grossadmiral Karl Dönitz. Legende und Wirklichkeit*, Paderborn–München–Wien–Zürich 2010.

³ K. Alman, *Grossadmiral Karl Dönitz. Von U–Boot Kommandanten zum Staatsoberhaupt*, Würzburg 2007 (wydanie pierwsze ukazało się w 1983 r.).

⁴ C. Bekker, *Kamp und Untergang der Kriegsmarine*, Hannover 1953; idem, *Verdammte See*, Oldenburg 1973.

⁵ G. Prien, *Mein Weg nach Scapa Flow*, Berlin 1940.

⁶ F. Ruge, *Der Seekrieg 1939–1945*, Stuttgart 1954.

⁷ E. Gröner, *Die deutschen Kriegsschiffe 1815–1945*, Bd 1. *Panzerschiffe, Linienschiffe, Schlachtschiffe, Flugzeugträger, Kreuzer, kanonnenboote*, Bonn 1998, s. 152, 153.

mi kalibru 305 mm”, choć w polskiej terminologii nautycznej w odniesieniu do ciężkiej okrętowej artylerii używa się terminu „wieże”. Z kolei na następnej stronie znajduje się taki oto passus: „Ultimatum postawione przez Stany Zjednoczone po storpedowaniu 24 marca francuskiego statku *Sussex* doprowadziło do zaprzestania «zaostrzonej wojny podwodnej» (w terminologii polskiej używa się słowa «nieograniczona» — R. K.) i do działań zgodnych z *Prisenordnung*”. Tak jak gdyby nie można było użyć polskiego terminu „prawo przyzowe”.

Na s. 32 mowa jest o konferencji na zamku w Pless (styczeń 1917 r.). Pominięcie w tym miejscu polskiej nazwy Pszczyna świadczy o tym, że zarówno tłumaczka, jak i konsultant po prostu nie orientują się w temacie książki nawet w stopniu podstawowym.

Cytat ze str. 39: „Dwa silniki Diesla MAN o mocy 250 KM wynosiły go na powierzchnię” (w rzeczywistości okręt podwodny wypływa spod wody dzięki opróżnianiu zbiorników balastowych — R. K.) są dowodem na absolutną dezynwolturę w terminologii wojenno-morskiej. Zupełną kompromitacją translacji jest terminologia związana ze stopniami wojskowymi obowiązującymi w II wojnie światowej zarówno w państwach osi, jak i alianckich. Tu panuje kompletny bałagan. W okresie kariery do nominacji na pierwszy stopień admirałski przed nazwiskiem Dönitz tłumaczka umieszcza stopień kapitana. Mamy tu do czynienia z podwójnym błędem. Tłumaczka przekłada dosłownie na język polski z francuskiego stopień *Capitane de vaiseeau*, którego odpowiednikiem w RP jest stopień komandora. Poza tym Dönitz 28 I 1939 r. otrzymał awans na stopień komodora, który nie ma odpowiednika w polskiej marynarce wojennej. W Kriegsmarine stopień ten miało niewielu oficerów, m.in. późniejszy wiceadmirał Friedrich Ruge oraz Friedrich Bonte, dowódca niemieckich niszczycieli. Był to stopień flagowy, ale jeszcze nie admirałski. Nadawano go wyjątkowo najczęściej szefom grupy okrętów, np. podwodnych.

Na s. 94 i 95 zamiast stopnia występuje skrót CV i dopiero w indeksie na końcu książki można przeczytać, że chodzi tu o francuską nazwę kapitana marynarki. Z kolei na s. 119 przed nazwiskiem brytyjskiego komandora porucznika Donalda Macintyre’a, słynnego dowódcy brytyjskich przeciwpodwodnych grup eskortowych, tłumacz umieszcza stopień kapitana fregaty, co jest kolejnym dosłownym tłumaczeniem z języka francuskiego *Capitane de fregate*. Tego rodzaju błędy i przeinaczenia w poważnym stopniu obciążają wydawnictwo, odpowiedzialne za ostateczną formę redakcyjną tłumaczonej na język polski książki. Nie jest to pierwsza wpadka tego wydawnictwa związana z translacją monografii historycznej⁸. Wydaje się, że Muza SA powinna starannie dobierać tłumaczy do translacji istotnych i wartościowych monografii historycznych w przyszłości.

Roman Kochnowski
Kraków

⁸ Podobnie niestarannie przetłumaczona była wydana przez Mużę praca Jörga Friedricha, *Požoga*, Warszawa 2011.

Paweł Sowiński, *Zakazana książka. Uczestnicy drugiego obiegu 1977–1989*, Warszawa 2011, Instytut Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk, ss. 367

Publikacje drugoobiegowe stanowiły nieodzowny element realiów społeczno–politycznych ostatnich kilkunastu lat PRL. Charakter i specyfikę tego zjawiska z powodzeniem oddaje opracowanie Pawła Sowińskiego *Zakazana książka*, którego autor, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN, potwierdził tą pozycją, że problematyka wydawnictw ukazujących się poza zasięgiem cenzury jest mu bardzo dobrze znana. Warto w tym miejscu przypomnieć chociażby jego teksty poświęcone środowisku warszawskiej Grupy Politycznej Wola oraz wydawnictwom Nowa, Krąg i CDN, jakie znalazły się w zbiorowym tomie „*Solidarność*” *podziemna 1981–1989*¹.

Autor już na początku swoich rozważań zaznaczył, że książka jest „bardziej historią ludzi niż idei”², podkreślając tym samym, iż przede wszystkim skupia się w niej na wymiarze organizacyjnym drugiego obiegu, a nie na analizie treści niezależnych publikacji. Zgrabnie ograniczył także zakres badań tylko do wydawnictw zwartych. Jest to o tyle istotne, że jak wynika z szacunków Biblioteki Narodowej, w latach 1976–1989 poza cenzurą opublikowano prawie 5500 czasopism³, które Paweł Sowiński zdecydował się wyłączyć poza nawias swoich zainteresowań, pozostawiając sobie jednak furtkę do sięgania po nie w razie potrzeby, co też zresztą niejednokrotnie czyni.

Od razu trzeba zaakcentować, że recenzowana książka jest opracowaniem wartościowym, potrzebnym i pożytecznym, poważnie wzbogacającym współczesne badania historyczne nad drugim obiegiem, którym do tej pory zajmowano się wielokrotnie, choć z różnym skutkiem. Zjawisko to w wymiarze ogólnopolskim, podobnie jak autor omawianej publikacji, analizowali w ostatnich latach głównie historycy z kręgu Instytutu Pamięci Narodowej. W tym kontekście przede wszystkim należy wymienić *Papierową rewolucję* Justyny Błażejowskiej⁴ oraz obszerny artykuł Cecylii Kuty, poświęcony niezależnym wydawnictwom książkowym⁵. Wśród tych pozycji opracowanie Pawła Sowińskiego jawi się jako pozycja dojrzała, kompletna, niemal bezbłędna pod względem redakcyjnym⁶ i napisana przyjaznym czytelnikowi językiem, dzięki czemu może zainteresować nawet niewprawionego odbiorcę.

Książka podzielona została na sześć rozdziałów, w których przeanalizowano organizację, druk i kolportaż drugiego obiegu oraz jego wpływ na przeobrażenia ustrojowe w kraju. Autor słusznie traktuje wydawanie poza zasięgiem cenzury jako przejaw budowy w PRL społeczeństwa alternatywnego, mającego umiejscawiać się pomiędzy działaniami prywatnymi i publicznymi, burzyć panujący dotąd podział na to, co państwowe i prywatne, oraz tworzyć nową przestrzeni, którą można określić jako politykę nieinstytucjonalną. Krótko

¹ Zob. P. Sowiński, „Wola”, czyli wolność: Międzyzakładowy Komitet Koordynacyjny NSZZ „Solidarność”, tygodnik, Grupa Polityczna, w: *Solidarność podziemna 1981–1989*, red. A. Friszke, Warszawa 2006, s. 531–548, 637–666.

² P. Sowiński, *Zakazana książka. Uczestnicy drugiego obiegu 1977–1989*, Warszawa 2011, s. 8.

³ J. Błażejowska, „Chciałem mieć w ręku broń” — zadrukowane kartki papieru. Pisma pozacenzuralne 1980–1989/1990, w: *NSZZ Solidarność 1980–1989*, t. II: *Ruch społeczny*, red. Ł. Kamiński, G. Waligóra, Warszawa 2010, s. 238.

⁴ Zob. J. Błażejowska, *Papierowa rewolucja. Z dziejów drugiego obiegu wydawniczego w Polsce 1976–1989/1990*, Warszawa 2010.

⁵ C. Kuta, *Niezależny ruch wydawniczy 1980–1989*, w: *NSZZ Solidarność 1980–1989*, t. II: *Ruch społeczny*, red. Ł. Kamiński, G. Waligóra, Warszawa 2010, s. 249–314.

⁶ Błędy literowe można zauważyć na stronach 101, 111, 226.

mówiąc, krążenie bibuły miało być emanacją społeczeństwa obywatelskiego, autentycznie niezależnego i samodzielnego. Szukając korzeni drugiego obiegu, autor przytacza niezwykle ciekawą opinię Bronisława Geremka, według której źródeł tego zjawiska należy szukać w Uniwersytecie Łatającym i Towarzystwie Kursów Naukowych. Niezależne wykłady dla studentów pod wpływem represji władz miały ustąpić słowu spisanemu i tajnie wydrukowanemu, co nie tylko poszerzyło krąg odbiorców, ale też zmieniło sposób narracji z mówionej na pisaną.

Przedstawiając genezę poszczególnych podziemnych oficyn, Paweł Sowiński doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że niejednokrotnie ich powstawanie poprzedzało istnienie ugrupowania bądź gazety (tak było chociażby z Komitetem Obrony Robotników i Niezależną Oficyną Wydawniczą oraz z pismem „Głos” i wydawnictwami Głos i Krąg), a działalność wydawnicza oparta była o współdziałanie, najczęściej pozbawione hierarchiczności. Autor słusznie docenia także udział środowisk emigracyjnych w rozwoju niezależnej literatury, przywołując powstały pod auspicjami Rządu RP w Londynie Fundusz Pomocy Krajowi zwany Komitetem Raczyńskiego oraz analizując rolę paryskiej „Kultury” w popularyzowaniu wolnego słowa w PRL.

W bardzo zajmujący sposób Paweł Sowiński pisze o niezależnych autorach, zauważając, że „drugi obieg stwarzał miejsce do dezercji elit intelektualnych spod kurateli władz”⁷. Było to zjawisko niezwykle interesujące, bo choć wydawnictwa ukazujące się poza cenzurą nie dawały możliwości rozwoju kariery naukowej, to tacy badacze jak Krystyna Kersten⁸, Jerzy Holzer⁹ czy Marek Sobolewski¹⁰ oddawali część swojego dorobku podziemnym oficynom, chcąc funkcjonować również w podziemiu.

Z lektury *Zakazanej książki* można się także dowiedzieć, że np. w Rumunii samizdat traktowano jako oręż do walki z reżimem, gdyż każdą maszynę do pisania ewidencjonowano w tym samym rejestrze co strzelby i karabiny, a niepokornych autorów karano tak surowo, jak gdyby atakowali władze z bronią w rękę. Informację tę autor podaje w najciekawszej części swojego opracowania, poświęconej analizie znaczenia drugiego obiegu dla upadku realnego socjalizmu nad Wisłą i opisowi działań operacyjnych podjętych przez służby PRL przeciwko niezależnym autorom.

Są to na pewno pozytywne strony opracowania Pawła Sowińskiego, które jawi się jako mocno udokumentowana i porządnie osadzona w faktografii rozprawa. Niemniej wydaje się jednak, że kilka kwestii zawartych w *Zakazanej książce* można poddać pod naukowy dyskurs. Polemiki domagają się na pewno obrane przez Pawła Sowińskiego ramy chronologiczne. Przyjął on bowiem za Andrzejem Friszke, że początek kultury niezależnej przypadął w PRL na drugą połowę 1977 r.¹¹, a datę końcową wyznaczył na rok 1989. Warto jednak pamiętać, że część niezależnej prasy, jak chociażby „Biuletyn Informacyjny” KOR, ukazywała się już w 1976 r. Za formalny koniec drugiego obiegu można natomiast uznać 6 VI 1990 r., kiedy weszła w życie ustawa znosząca Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk.

Szkoda także, że Paweł Sowiński nie pokusił się o wyraźne zdefiniowanie pojęcia drugi obieg. Z jednej strony trafnie zauważył, że było to coś więcej niż tylko opozycyjne media i w gruncie rzeczy stanowiło drugą strukturę życia obywateli PRL¹², ale równocześnie unik-

⁷ P. Sowiński, *Zakazana książka...*, s. 37.

⁸ Zob. K. Kersten, *Narodziny systemu władzy. Polska 1943–1948*, Warszawa 1987.

⁹ J. Holzer, *Solidarność 1980–1981. Geneza i historia*, Warszawa 1983.

¹⁰ M. Sobolewski, *O granicach reformowalności systemu komunistycznego*, Kraków 1983.

¹¹ A. Friszke, *Przystosowanie i opór. Studia z dziejów PRL*, Warszawa 2007, s. 266.

¹² Zob. P. Sowiński, *Zakazana książka...*, s. 17.

nał wyraźnego dookreślenia tego terminu. Można było przywołać chociażby ujęcie, jakie proponuje Adam Roliński, który za drugi obieg uznaje „wydawnictwa osób, instytucji lub organizacji najczęściej nie posiadających osobowości prawnej i nie poddane kontroli cenzorskiej”¹³. Zabieg ten spowodowałby wyraźne dookreślenie tematu, a tak zagadnienie drugiego obiegu proponowane przez Pawła Sowińskiego zbliżone jest do pojęcia opozycja polityczna, która przecież poza tworzeniem nieoficjalnego systemu informacji kształtowała wśród Polaków określone postawy, wpływała na ich świadomość oraz przede wszystkim kreowała alternatywne elity polityczne¹⁴.

Nie do końca jasna wydaje się także opinia autora, że myśl polityczna zawarta w publikacjach książkowych miała subtelny charakter i rzadko stawała się ostrą agitacją polityczną, a jeżeli już była to polityka, to „wyrażona niepolitycznym językiem”¹⁵. Można podać wiele przykładów wydawnictw zwartych, które stały się następnie manifestami politycznymi spojętej części środowisk niezależnych. Wystarczy wspomnieć chociażby *Rewolucję bez rewolucji* Leszka Moczulskiego¹⁶, *Takie czasy... Rzecz o kompromisie* Adama Michnika¹⁷ czy *Myśli staroświeckiego Polaka* Piotra Wierzbickiego¹⁸. Każda z nich zawierała spójną analizę ówczesnych realiów, a ich autorzy nie uciekali od polityki, wysuwając konkretne propozycje zmian systemowych w PRL.

Skomentowania wymaga również stwierdzenie, że „trudno jest dobrze wyważyć, ile było w działalności wydawniczej polityki i jakiej”, oraz „ile myślenia lewicowego, ile prawicowego”¹⁹. Andrzej Friszke dość przekonująco udowodniał, że niezależne wydawnictwa pozabawiające władzy monopolu na działalność wydawniczą i naruszające ramy wyznaczone przez cenzurę były wyraźnym elementem ciągłości z wizjami dawnych ruchów lewicowych²⁰.

Bez względu na te uwagi, które oczywiście nie mają charakteru zarzutów, ale są elementem debaty nad poruszonymi przez autora zagadnieniami, trzeba wyraźnie stwierdzić, że wnioski zawarte w recenzowanej książce nie budzą wątpliwości interpretacyjnych. Warto jeszcze podkreślić, że pisząc swoje opracowanie, Paweł Sowiński korzystał szeroko z materiałów archiwalnych, odbył także kilkadziesiąt rozmów z uczestnikami drugiego obiegu oraz popisał się dogłębną znajomością literatury przedmiotu. *Zakazana książka* wyposażona została również w uzupełniający całość aneks, z którego czytelnik może się dowiedzieć m.in., ile wydawnictw zwartych wydawano w podziemiu w poszczególnych latach oraz jakie tytuły i którzy autorzy cieszyli się największą popularnością. Wszystko to sprawia, że recenzowana pozycja zasługuje na bardzo wysoką ocenę merytoryczną, a jej autor na uznanie za podjęty wysiłek badawczy i jego wynik.

Paweł Wierzbicki
Kraków

¹³ A. Roliński, *Drugi obieg wydawniczy w Polsce powojennej*, w: *Drugi obieg wydawniczy w Polsce w latach 1976–1990 w zbiorach Biblioteki Jagiellońskiej*, oprac. J. Brzeski, A. Roliński, Kraków–Wilno 1994, s. 23.

¹⁴ Zob. K. Łabędź, *Spyry wokół zagadnień programowych w publikacjach opozycji politycznej w Polsce w latach 1981–1989*, Kraków 1997, s. 8.

¹⁵ P. Sowiński, *Zakazana książka...*, s. 39.

¹⁶ L. Moczulski, *Rewolucja bez rewolucji*, Warszawa [po 1979].

¹⁷ A. Michnik, *Takie czasy... Rzecz o kompromisie*, Warszawa 1986.

¹⁸ P. Wierzbicki, *Myśli staroświeckiego Polaka*, Warszawa 1986.

¹⁹ P. Sowiński, *Zakazana książka...*, s. 43.

²⁰ Witold Wolski [Andrzej Friszke], *KOR: Ludzie, działania, idee*, Warszawa 1983, s. 81.

Chiny w XXI wieku. Perspektywy rozwoju, red. Waldemar J. Dziak, Krzysztof Gawlikowski, Małgorzata Ławacz, Warszawa 2012, Instytut Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk, ss. 358

Wydany przez Instytut Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk obszerny tom stanowi swoistą kontynuację woluminów opublikowanych już (we współpracy z warszawskim Wydawnictwem TRIO) na przełomie stuleci i dotyczących przemian w Chinach współczesnych. Podobnie jak poprzednie stoi on na wysokim poziomie merytorycznym, prezentując poglądy czołowych polskich znawców problemu, ale także i młodych, choć już cenionych specjalistów. Wobec ubóstwa (a często, niestety, i bałamutności) krajowych prac dotyczących Państwa Środka, obecnie mocarstwa należącego już do ścisłej czołówki uczestników międzynarodowej gry, potrzeba takiej pracy jest oczywista. Jej dodatkowym atutem są trzy zamieszczone w niej materiały analityczne prof. Davida Shambaugha (bodaj najlepszego współczesnego amerykańskiego znawcy ChRL) oraz starszego inżyniera Cai Yuanminga (reprezentującego poglądy zbliżone do obecnych władz w Pekinie), do czego dochodzi dokument programowy tychże władz (przytoczony we fragmentach).

Praca dotyczy w zasadzie Chińskiej Republiki Ludowej, poruszając kwestie Tajwanu i Hongkongu właściwie tylko w kontekście działań rządu pekińskiego. Wobec obszerności tytułowej problematyki czują się kompetentny do nawiązania tylko do niektórych z przedstawionych artykułów, co jest niewątpliwie krzywdzące dla pozostałych. Całkowicie poza moim zasięgiem pozostaje na przykład rozdział Justyny Jaguścik dotyczący klasy średniej w ChRL (czy raczej tego, co się ową nazwą tam określa), jak i jej koleżanki doktorantki Katarzyny Golik o przemianach muzycznej kultury masowej (sugestia, że rządzą nią obecnie wykonawcy tajwańscy, świadczy jednak wymownie o dorobku mocarstwa kontynentalnego w tej dziedzinie).

Otwierający tom tekst prof. Karin Tomali *Zmieniające się miejsce Chin w świecie. Czy dominacja Zachodu skończy się w XXI wieku?* zawiera wiele argumentów na rzecz tezy, iż z figurującego w tytule znaku zapytania można śmiało zrezygnować. Co więcej, jeśli za dominację uważać będziemy cywilizacyjną dominację absolutną (w sensie znanym z pierwszej połowy XX w. i z początku zimnej wojny), to tego rodzaju „zmerch Zachodu” stał się już faktem. Niemniej niektóre uwagi autorki zachęcają do polemiki. Mniejsza już o to, że tempo rozwoju ChRL od 1978 r. określone zostało na 12 proc. rocznie (s. 14), podczas gdy we wstępie (s. 8) prof. Dziak mówi o 9 proc.; są to i tak liczby zapierające dech, a różnica wynika zapewne z branych pod uwagę danych. Zaskakuje natomiast (wyrażone na s. 21) przekonanie, iż prześcigany obecnie gospodarczo przez Chiny zachodni „model skrajnie neoliberalny doszedł [...] do krańca swoich możliwości”. Abstrahując już od faktu, że i w Europie Zachodniej, i w USA trudno się dziś doszukać „modelu skrajnie neoliberalnego” w ekonomii, ocena tak kategoriyczna przypomina werdykty ferowane w latach trzydziestych ubiegłego wieku, kiedy to gospodarka rynkowa zdawała się przegrywać ze strategią gospodarczą proponowaną przez państwa autorytarne i totalitarne. Owcześnie oceny okazały się przedwczesne; czy i obecny nie jest nazbyt pochopny, skoro bankructwo banku Lehman Brothers (mimo wszystko jednak nieporównywalne z „czarnym czwartkiem” w 1929 r.) zdarzyło się niemal wczoraj? Ciekawe są uwagi o „Chimeryce”, czyli wzajemnej komplementarności gospodarek ChRL i USA, skazującej jakoby owe mocarstwa na bezalternatywną współpracę; trudno jednak nie zauważyć, iż podobne sądy wyrażano sto lat temu o gospodarkach cesarskich Niemiec i Imperium Brytyjskiego (największego europejskiego producenta i największego inwestora), który to splot nie zapobiegł wszakże koszmarowi I wojny światowej. Nie

przekonuje wielokrotnie wyrażana opinia autorki, jakoby zachodnie media i elity oceniały władze chińskie krzywdząco, a nawet z „nienawiścią” (s. 28). W końcu najbardziej znienawidzonym w mediach Europy i USA przywódcą mocarstwa w pierwszej dekadzie XXI w. nie był Hu Jintao, ale George W. Bush, polityk *par excellence* zachodni (gdyby w wyborach brały udział tylko medialne elity, nie miałby on szans na reelekcję). Prawda: społeczeństwa (i przywódcy) Zachodu wykazują w odniesieniu do Chin ogromną nieraz ignorancję, należy jednak pamiętać o opinii Shambaugh, że stosunki Waszyngton–Pekin były za prezydentury młodszego Busha „najlepsze od 20 lat” (s. 314). Autorka przekonująco dowodzi, że obecne kierownictwo ChRL nie zamierza inwestować owoców gospodarczego boomu w zbrojenia i nie dąży (przynajmniej na razie) do politycznej ekspansji. Czy powodem tego jest jednak fakt, iż „chińscy politycy potępiają wszelkie próby prowadzenia polityki hegemonistycznej przez jakiegokolwiek mocarstwo” (s. 52)? Przecież przeciw hegemonii oficjalnie wypowiadają się także politycy amerykańscy, rosyjscy, japońscy, indyjscy, irańscy etc. — po prostu nikt otwarcie nie słaui polityki hegemonistycznej.

Tekst dr. Dominika Mierzejewskiego *Spory o miejsce i rolę Chin w stosunkach międzynarodowych* ciekawie przedstawia problem wyborów strategii politycznej stojący przed obecnym kierownictwem ChRL, który (ogromnie upraszczając) sprowadzić można do dylematu: stabilizacja aktualnej sytuacji międzynarodowej czy próba obalenia słabnącej zresztą dominacji amerykańskiej. Retoryka dobiegająca w tej kwestii z Pekinu nie zawsze jest wewnętrznie spójna. Z jednej strony chińskie władze podkreślają swą konsekwentnie pokojową postawę, uzasadnianą zarówno ustrojem komunistycznym, jak i tradycją konfucjańską (s. 62 i 66), z drugiej strony nie kryją satysfakcji, iż „Chiny wracają na historycznie należne im miejsce” (s. 67). Otóż pomijając problem, co to znaczy „należne”, stwierdzić trzeba, że powrót ów może być odbierany (słusznie czy nie) jako zagrażający pozycji i interesom innych państw, a i samego powrotu nie sposób dokonać bez rewizji systemu międzynarodowego. Ciekawym wątkiem w wywodach autora, często błyskotliwych, ale i kontrowersyjnych, jest sprawa krytykowania aktualnej polityki władz ChRL (jako rzekomo zbyt ustępliwej wobec Zachodu) przez chiński świat akademicki (głównie rozmaitych ekspertów) i opinię publiczną. Otóż nie postawiono pytania, czy owe protesty nie są aby przynajmniej w części inspirowane przez samą partię, potrzebującą argumentów w rozgrywce z tymże Zachodem. W realiach panujących w Chinach Ludowych bezkarne kierowanie wobec władz zarzutów piętnujących ich politykę mieć może miejsce tylko w razie pewności wyrozumiałego ich przyjęcia.

Prof. Edward Halizak we wnikliwym rozdziale *Chiny a instytucje współpracy regionalnej* zauważa trafnie, iż Pekin, ostantacyjnie podkreślając swój szacunek dla wszelkich instytucji międzynarodowych (zwłaszcza ONZ), w istocie preferuje zrzeszenia o charakterze ekonomicznym (najpierw globalne, potem regionalne), naprawdę nie interesując się instytucjami bezpieczeństwa. Przyczyną jest na pewno fakt, iż w okresie postmaoistowskim różne gospodarcze organizacje międzynarodowe, piętnowane wcześniej z hałasem jako rzekome źródła wyzysku, przez lata dawały Chinom wielomiliardowe wsparcie finansowe. Dziś, w zmienionej sytuacji, ChRL może w nich liczyć na pozycję jednego z wiodących graczy. Natomiast Pekin nie ma żadnego wojskowego alianta, a można się zastanowić, czy ma prawdziwych, liczących się przyjaciół (Pakistan?). Autor chyba zbyt krótko (s. 83) rozważa, czy aby nie wynika to z historycznej tradycji „centrum świata”, „wszystkiego pod niebem” (*tianxia*). Informację, iż odnośnie do Międzynarodowego Funduszu Walutowego Chiny krytykują „brak demokratycznych reguł w funkcjonowaniu tej instytucji” (s. 94), odczytać można jako swoisty chichot historii.

Tekst prof. Bogdana Góralczyka *Chiny a nowy ład gospodarczy w świecie* przekonująco dowodzi, iż rozpoczęta z chwilą upadku bloku sowieckiego epoka krótkotrwałej, samotnej dominacji amerykańskiej dobiegła już końca, a świat (może nie tylko w sferze gospodarczej) stał się wielobiegunowy. Sam tylko (o czym już wspominałem) wahałbym się, czy punktem zwrotnym był tu kryzys lat z 2008–2009; w dziejach gospodarczych znacznie trudniej niż w politycznych dostrzegamy wyraziste cezury. Miałbym też wątpliwości, czy obecnie Chinami „rządzi partia o przekonaniach i wartościach konfucjańskich” (s. 118), choć na pewno sama KPCh chciałaby być tak postrzegana, przynajmniej nieoficjalnie (oficjalnie jest ciągle tworem marksistowskim). Do wartości konfucjańskich na pewno nie należy korupcja, w ChRL zaś owa plaga, skutecznie tępiąca w naprawę konfucjańskim Singapurze, rozkwita szczególnie bujnie właśnie w sferach władzy. Celna jest natomiast uwaga autora, że jeśli świetnej przyszłości Chin Ludowych pewni są ekonomiści, to politolodzy i prawnicy zgłaszają wątpliwości. Natura rządów w Pekinie jest bowiem taka, że znacznie łatwiej od politycznych przewidzieć można trendy finansowe i gospodarcze.

Fascynujące, ale trudne do weryfikacji są rozważania Bartosza Smolika *Elita polityczna Chińskiej Republiki Ludowej w dobie dominacji czwartej generacji chińskich przywódców — przykład na przyszłość?* Dociekania, jak przedstawia się realny układ sił w największej partii politycznej świata, stanowią od lat ulubione, ale i dość syzyfowe zajęcie politologów specjalizujących się w problematyce chińskiej. Trafna jest na pewno konkluzja autora, że obecne (wylonione w 2012 r.) pokolenie przywódców nie ma już nic wspólnego z „heroicznym” okresem walk o władzę w epoce maoistowskiej i że era charyzmatycznych wodzów zakończyła się ze zgonem (w 1997 r.) Deng Xiaopinga. Przekonuje też opinia, że sposób, w jaki zostało wylonione owo przywództwo (mowa o wylonieniu rzeczywistym, a nie o zjeździe partii, którego przebieg był z góry znany), sprawia, iż „trudno [...] oczekiwać, aby osoby te pały sympatią nawet do tych ograniczonych form demokracji, jakie od pewnego czasu obowiązują przy wyborze KC i naczelnych władz państwowych, nie mówiąc już o demokracji w stylu zachodnim” (s. 163). Godne zapamiętania wydają się też dwie inne uwagi. Po pierwsze, wpływy „starców” (*yuanlao*), czyli przywódców emerytowanych, będących jeszcze w czasach Denga istotnymi decydentami, ogromnie zmalały, gdyż obecni emeryci nie mają już za sobą ani bohaterskiej legendy, ani wszechobecnego zwolenników (tych ostatnich bowiem też podszyłano na emeryturę). Po drugie — wszystko na to wskazuje — znacząco spadły w KPCh wpływy wojskowych, którzy ongiś byli w niej potęgą (warto przypomnieć, że Mao Zedong i Deng Xiaoping uważali się osobiście za „żołnierzy”).

Ciekawy artykuł prof. Adama W. Jelonka *Kierunki demokratyzacji Azji Wschodniej. Przyczynek do debaty* stara się zweryfikować — na podstawie własnych badań Autora — znane tezy Davida J. Hitchcocka, iż główne wartości społeczne i osobiste są cenione w odmienny sposób przez reprezentantów kultury konfucjańskiej oraz zachodniej. Wydaje się, iż argument Amerykanina, że tradycyjne systemy wartości stanowiąc będą główną przeszkodę dla ewentualnej ekspansji demokracji w Azji Wschodniej, uległ w wyniku tych badań istotnemu podważeniu.

We wnikliwej analizie *Perspektywy demokracji w Chinach* prof. Krzysztof Gawlikowski najzupełniej słusznie — jak się wydaje — wyraża sceptycyzm wobec szans na sukces sygnalizowanego w tytule procesu. Sceptycyzm ten wynika nie tylko ze stanowiska KPCh, niekwapiącej się do poddania weryfikacji wyborczej, ale przede wszystkim z postawy społeczeństwa. Będąc — choć, oczywiście, w rozmaitym stopniu — beneficjentem obecnych przemian, nie widzi ono potrzeby odsuwania partii od władzy, tym bardziej iż Chinom brak tradycji oddolnego kontrolowania skutecznie rządzących elit. Niewątpliwie słuszna jest też

sugestia, że przyszła ewolucja systemu w stronę modelu bardziej przedstawicielskiego (co nie znaczy, iż demokratycznego w sensie zachodnim) wynikać będzie bardziej z zainicjowanych odgórnie przemian niż ze wstrząsów społecznych wymuszających cokolwiek na władzy. Mam natomiast wątpliwości, czy słuszna jest opinia ze s. 237, że skuteczna demokratyzacja Tajwanu wynika z chęci przypodobania się tamtejszych władz (to znaczy Kuomintangu) społeczeństwu amerykańskiemu „gdyż [...] sam byt tego organizmu politycznego zależy w istocie wyłącznie od dobrej woli Waszyngtonu”. Reżim tajwański znacznie bardziej zależny był od Waszyngtonu w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych (jako niesamodzielny gospodarczo i stale zagrożony inwazją). Niemniej nie wykazywał wówczas żadnej chęci zniesienia stale obowiązującego stanu wyjątkowego, choć krok taki bez wątpienia dałby mu *publicity* w USA. Demontaż swej dyktatury reżim w Tajpej przeprowadził w chwili, gdy nie był poważnie zagrożony ani z zewnątrz, ani od wewnątrz, natomiast tajwańska gospodarka znajdowała się w rozkwicie. To właśnie różni zasadniczo ewolucję tego systemu od przemian w ChRL czy w krajach Europy Wschodniej.

W cennym tekście *Polska wobec Chin i innych krajów Azji Wschodniej: wyzwania i dylematy*, napisanym przez byłego ambasadora RP w Pekinie Krzysztofa Szumskiego, wyliczone są fakty dokumentujące smutną skądinąd tezę, iż dyplomatyczne i ekonomiczne możliwości naszego kraju wobec Azji Wschodniej nie są w pełni wykorzystywane. Faktem jest też ogromny deficyt w polskim handlu z państwami tegoż regionu.

Przekonująco napisany artykuł profesorów Krzysztofa Gawlikowskiego i Waldemara Dziaka *Perspektywy normalizacji stosunków ChRL z Tajwanem — szanse i zagrożenia* zawiera wnioski, z którymi trudno się zgodzić. Sprowadzają się one do konkluzji, że zjednoczenie obu części Chin się (prawie na pewno) dokona, ale w rezultacie długiego i ewolucyjnego procesu, którego jednym z warunków będzie rezygnacja z komunistycznych akcentów w nazwie i symbolach kontynentalnego państwa i partii. Ideologia komunistyczna na kontynencie, będąca w istocie coraz bardziej pustą skorupą, jest bowiem z historycznych przyczyn nie do przyjęcia dla rządzących na wyspie. Jednocześnie postępuje ekonomiczna integracja obu organizmów politycznych. Autorzy słusznie podkreślają, że „nawet same sankcje gospodarcze ze strony Pekinu spowodowałyby katastrofę gospodarczą na wyspie” (s. 307). Warto jednak byłoby dorzucić, że z tych samych przyczyn próba inwazji stanowiłaby dla ChRL czyn zarówno szaleńczy ekonomicznie, jak i faktycznie sprzeczny ze swym celem, stanowiąc zarznięcie kury znoszącej przysłowiowe złote jaja.

Zamykające tom teksty autorów niepolskich mają charakter szczególny. Pierwszy, prof. Davida Shambaugh (*Zadania administracji Obamy w sferze strategicznych stosunków z Chinami: perspektywa otwarcia*) ukazuje punkt widzenia amerykańskiego eksperta i doradcy rządu supermocarstwa. Artykuł, nawiasem mówiąc, pochodzi z wiosny 2009 r.; od tego czasu Barack Obama udowodnił, że znacznie mniej od swych poprzedników ceni sobie stosunki z Europą, ale także, iż nie wypracował bynajmniej jakiejś nowej strategii odnośnie do Azji Wschodniej. Natomiast szkic Cai Yuanminga *Dlaczego zachodni model systemu wielopartyjnego nie byłby odpowiedni dla Chin*, ważny, gdyż odzwierciedlający sposób myślenia decydentów w ChRL, jest swoistym kuriozum. Jego kuriozalność nie polega na niechęci autora wobec demokracji jako takiej; istnieją przecież (także na Zachodzie!) ciekawe intelektualnie argumenty przeciw systemowi demokratycznemu. Osobliwość rozważań Caia polega na tym, iż — odrzucając rozwiązania zachodnie — usiłuje on dowieść że „chiński system współpracy wielopartyjnej jest również formą systemu demokratycznego” (s. 329), a tego już dowieść się nie da. Wygląda na to, że chińscy przywódcy komunistyczni (a komunizm jest przecież wynalazkiem *par excellence* zachodnim), mimo odniesienia rozmaitych sukces-

sów, mają nadal wobec swych partnerów z Waszyngtonu, Londynu czy Paryża swoisty kompleks niższości, w rezultacie którego zmuszeni są utrzymywać, iż ich dyktatura jest rodzajem demokracji.

Ogólnie rzecz biorąc, książka *Chiny w XXI wieku* jest fascynującym zbiorem studiów. Jak zawsze w wypadku prac starających się nakreślić perspektywy przyszłości wiele wyrażonych opinii budzić może wątpliwości (a nawet sprzeciw). Poszczególni badacze (w tym i piszący te słowa) mogą mieć bowiem bardzo różne zdania w rozpatrywanych kwestiach, a – w przeciwieństwie do standardowej pracy badawczej — nie można liczyć na to, że w rozstrzygający sposób przemówią dokumenty. Do minusów rozpatrywanego woluminu zaliczyłbym nieobecność tekstu mówiącego o polityce militarnej ChRL; czy zawinił tu niedostatek danych, czy brak autora gotowego omówić ową problematykę? Mam też wątpliwości, czy konsekwentne określanie ustroju panującego w Chinach Ludowych mianem (li tylko) autorytarnego jest słuszne. Oczywiście, istnieje przepaść między owym ustrojem a reżimem z czasów maoistowskich (którego jednak jest kontynuacją!), niemniej różnica między Związkiem Sowieckim z czasów Stalina a (na przykład) późnego Breżniewa też była kolosalna. Można zasadnie się zastanawiać, czy ChRL jest jeszcze państwem komunistycznym (choć *de iure* jest nim na pewno), ale wprowadzenie elementów wolnego rynku, stosunkowo szerokie — lecz zwykle niepolityczne — enklawy wolności słowa oraz malejąca represyjność nie są jeszcze powodem, by odmawiać systemowi miana totalitarnego. Przypomnijmy, że w Europie Zachodniej pierwszym totalitaryzmem był reżim Mussoliniego we Włoszech, reżim, którego represyjność mniejsza była nie tylko od bolszewickiego, ale i od wielu mu współczesnych ustrojów autorytarnych.

Autorzy i redaktorzy tomu wykonali niewątpliwie ogromną pracę. W tym miejscu warto jeszcze podkreślić zasługi dr Małgorzaty Ławacz z warszawskiej Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej, od lat niestrudzonej i sumiennej redaktorki naukowej tej i wielu innych prac dotyczących Azji Wschodniej.

Jakub Polit
Kraków